



MARIA KONOPNICKA

Miłosierdzie gminy


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

MARIA KONOPNICKA

Miłosierdzie gminy

Dziewiąta dochodzi na zegarze gminy. Przez lekką mgłę poranną przebijają ciemniejsze lazurowe głębie, zapowiadając cudowną i cichą pogodę.

Przed kancelarią snują się gromadki, oczekując przybycia pana Radcy Storcha, którego szary filcowy kapelusz i laskę ze srebrną gałką widać przed bliską kawiarnią Gehra, u stolika pana sędziego pokoju, czytającego tu przy cienkiej kawie swój poranny dziennik.

Pan Radca może przybyć lada chwila; tak przynajmniej sądzi woźny, stojący w półurzędowej postawie na ganku kancelarii i odpowiadający na pozdrowienia przechodniów przytknię-

ciem dwu palców do granatowej czapki z białą wypustką.

Od strony kawiarni Gehra dolatują rześkie głosy obu rozmawiających panów. Pan radca zatrzymał się tylko na chwilę, nie siada nawet, ale rozmowa z panem sędzią bawi go widać, gdyż słyhać od czasu do czasu jego śmiech swobodny, wesoły, któremu odpowiada krótkim naszczekiwaniem pyszny, brunatny ceter¹, leżący u stolika w postawie sfinksa.

Tymczasem ludzie przed kancelarię przychodzą, pozdrawiają się wzajemnie i stają, gawędząc niedbale. Niektórzy idą wprost do kancelarii, inni przysiadają na kamiennych, połączonych luźnym łańcuchem, słupkach, które niewielki, żwirem wysypany plac przed gmachem od ulicy dzielą; jeszcze inni, zadarłszy głowy, przypatrują się samemu gmachowi. Jest nowy. Stał wszakże na miejscu dawno zadrzewionym, z którego mu pozostawiono dwa szeroko rozrosłe, o łupiącej się delikatnej ko-

¹*ceter* — dziś: seter; wyżeł brytyjski; duży pies myśliwski o długiej lśniącej sierści. [przypis edytorski]

rze, platany, których żywą zielen jesiennie słońce złocić już nieco zaczęło.

Sam gmach prosty, szary, kwadratowy niemal ma na płaskim dachu niską, żelazną balustradę o złoconych gałkach, a na fasadzie cztery pilastry² i pamiątkową tablicę z napisem. Napis ten, błyszczący wesoło złoceniem swych liter, przyciąga oczy ludzkie. Każdy prawie z przybyłych podnosi głowę i odczytuje go z powagą. Alboż nie ma prawa? Wszak każdy na wzniesienie kancelarii dał swoje trzy grosze, a dom jest wspólną własnością i wspólnym dziełem gminy. Nie mniej przyciąga oczy zegar umieszczony w samym ostrzu trójkąta, opierającego się podstawą o płaskie kapitele³ pilastrów, tylko że wskazówki jego zdają się dziś wolniej jakos poruszać po okrągłej i błyszczącej tarczy. Tak przynajmniej mniema właściciel bliskiej piwiarni, który co chwila dobywa swoją wielką

²*pilastr* a. *pilaster* — półkolumna, element architektoniczny. [przypis edytorski]

³*kapitel* — zwieńczenie kolumny. [przypis edytorski]

srebrną cebulę⁴, konfrontując ją z zegarem gminy. Miły Boże, po co się człowiek ma śpieszyć? Czas i tak leci.

Już tylko parę minut brakuje do dziewiętej; gromadki zaczynają ściągać przed sam ganek kancelarii, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Nie ma w tym zebraniu nic uroczystego: jak kto przy robocie stał, tak przyszedł. Zwyczajnie, za interesem.

Codziennie „joppy” szarzeją się na grzbietach; rzeźnik Wallauer przyszedł w różowym, dymkowym kaftanie, Jan Blanc, rymarz z Höschli, w zielonym kitajkowym⁵ fartuchu, spiętym na mosiężną haftkę z łańcuszkiem; wielu, mimo ранego chłodu, stawiało się na zebranie w kamizelkach tylko; wdowa Knaus, jak szła z targu, tak wstąpiła z koszykiem ogrodowizny⁶ i z nową szczotką pod pachą. A cóż? Wszak tu wszyscy swoi.

⁴*cebula* (daw. pot.) — tu: zegarek kieszonkowy noszony na łańcuszku. [przypis edytorski]

⁵*kitajkowy* (daw.) — z cienkiego jedwabiu. [przypis edytorski]

⁶*ogrodowizna* (daw.) — warzywa. [przypis edytorski]

Nareszcie na kwadratowej wieżycy Nowego Münsteru zaczynają bić kwadranse, a jednocześnie daje się słyszeć radosne szczekanie wyżła biegnącego u nóg pana Radcy. Wyprzedza go, wraca, znowu go wyprzedza, znów po paru susach wraca, aż weszli razem w wybornych humorach w otwarte drzwi kancelarii. Zaraz za nimi zaczynają wchodzić czekające przed gmachem gromadki.

Wchodzą i w sieniach już dzielą się na dwie partie: ciekawych i interesowanych⁷. Interesowani przepychają się zbitym szeregiem do złotych, drewnianych balasków, dzielących salę na część urzędową i nieurzędową; ciekawi idą wolniej i obsiadają ławki, biegnące dokoła pod ścianą.

Nie jest to rozdział stanowczy.

To z jednej, to z drugiej strony wciąż miało sobie coś do powiedzenia; czasem też który z ciekawych czuł się nagle interesowanym i u balasków miejsca sobie szukał. Człowiek może się namyśleć i w ostatniej chwili.

⁷*interesowany* — dziś: zainteresowany. [przypis edytorski]

Interesowanych jest mniej; ci mają ważniejsze stanowisko w sali. Jest tu powroźnik Spüngli, który się niedawno z wdową ożenił i warsztat chciał rozwinąć; jest Kägi Tobiasz, właściciel piwiarni „Pod Zieloną Różą”; jest piekarz Lorche; jest oberzysta z Mainau; jest Dödöli, właściciel winnicy; jest Wetlinger Urban, słodownik; jest Tödi-Mayer ślusarz; jest kotlarz Kissling; jest ogrodnik Dörfli; jest stolarz Leu Peter i kilku innych jeszcze.

Każdy z nich potrzebuje posługi to w warsztacie, to w domu, to w roli. Kiedy też woli, że mu to taniej przyjdzie, niż gdyby parobka zgodził. Porozpierali się u balasków i gwarzą z cicha. Wdowa Knaus także się między nimi rozparła. Od czasu jak się syn ożenił, na imię boskie nie ma się kim w domu pchnąć. Jest przy tym miłosiernego serca i chętnie by biedotę jaką wzięła, żeby tylko posługę z tego niezgorszą mieć można. No i żeby dopłata nie bardzo marną była. Nie może przecie niedołągi darmo do domu brać. Gmina zresztą ma fundusze na to,

żeby za biedaków, co już robić nie mogą, płaciła.

Zebrać przecież nie pójdą, nie wolno. Czy tylko będzie w czym wybrać?... Pod jesień słabnie to jak muchy. Wolałaby babę... Phi! weźmie i dziada, jak baby nie będzie. Aby od biedy, aby od biedy! A czy to mało tej hołoty w gminie? Tygodnia nie ma, żeby do kancelarii nie ściągnęła⁸ jaka mizerota, której się zdaje, że już nie poradzi robocie. Nieprawda! Takiego dobrze docisnąć, to i za młodego obstanie od nagłego razu. A i to błogie, co tam gmina doda. Nie raz, nie dwa jeszcze taki swego nie przeje, a już go śmierć ściśnie. Hoppingerom się trzydzieści franków po starej Reguli zostało, co ją na wiosnę z kancelarii wzięli. A Egli? Egli więcej niż w parobka Aloisa orał, a jeszcze połowy zapomóg nie wydał, kiedy stary zipnął. Pan Bóg miłosierny niczyjej krzywdy nie chce!

⁸ściągła — dziś popr. forma: ściagnęła. [przypis edytorski]

Tu wdowa wzdycha, a czarny kamlotowy⁹ kaftan podnosi się z szelestem na jej szerokich piersiach.

Ale jeden i drugi ogląda się ku drzwiom. Czemu nie przyszedł Probst? Spodziewano się, że pierwszy do licytacji stanie, a jego dotąd nie ma.

Ucicha nareszcie w sali, a pan Radca podnosi głowę od biurka, przy którym stojąc, czytał papier jakiś.

Jest to młody jeszcze, przystojny i okazały szatyn, którego niewielka łysina niemalże nie szpeci wcale. Twarz ma mięsistą, okrągłą, wąs rudawy, spojrzenie otwarte, jasne. Ubrany z pewnym wykwintem, u szwajcarskich urzędników niezwykłym. Szczególniej uderza czarny gors u koszuli, na którym błyszczą drobne złote spiniki. Podniósłszy głowę, pan Radca oczy mruży i znad złotych okularów po obecnych patrzy. W tej chwili właśnie woźny drzwi zamyka. Zdaje się, że już nikt więcej nie przyjdzie.

⁹*kamlotowy* — z miękkiej wełny. [przypis edytorski]

— No, moi panowie — odzywa się pan Radca, przeciągając palcem tłustej białej ręki pomiędzy przyciasnym kołnierzykiem a pełną, nieco nabrzmiałą szyją. — No, moi panowie, mamy dziś, jak wiecie, posiedzenie sekcji dobroczynności w gminie. Czy tak?

— Tak, tak! — odzywa się kilka głosów w sali.

— A więc, moi panowie — dodaje Radca, zapuszczając palec między kołnierzyk a kark kładący się na nim fałdą tłustej skóry — więc możemy zaczynać!

— Tak, tak! — odzywają się ponownie głosy. Ale pan Radca, świeży urzędnik z wyborów, nie lubi tracić sposobności do małych przemówień, które by gruntowały popularność jego. Chrząka tedy i, oparłszy obie dłonie na pulpicie swego biurka, tak rzecze:

— Wiadomo panom, jak opiekuńcze są ustawy gminy. Wiadomo panom, że gmina nie dozwala cierpieć nędzy żadnemu z członków swoich. Ociera łzy, odziewa nagich, karmi głod-

nych, bezdomnym daje dach nad głową, słabych wspiera.

Tu czując, że mu się ten frazes udał, robi krótką, lecz znaczącą pauzę. Obejmuje potem oczyma obecnych i tak mówi dalej:

— Ustawy gminy są ustawami chrześcijańskiego miłosierdzia; są one nie tylko naszą zdobyczą cywilizacyjną, ale naszą chlubą. Tak jest, panowie, one są naszą chlubą! Wiadomo panom, że młodość nie trwa, siły opuszczają, choroba i bieda łamie. Jest to powszechne prawo, któremu ulega świat cały. Ale nasza gmina podejmuje walkę z tym prawem. W jaki sposób? W bardzo prosty: przygarnia tych, których skrzywdziło życie, przygarnia nędzarczy i wydziedziczonych, przygarnia kaleki i niemocne¹⁰ starce¹¹!

Tu pan Radca dziwi się, że mu tak dobrze idzie i znów robi pauzę. Żal mu po prostu, że słucha go tak mała garstka ludzi. Taka mowa,

¹⁰*niemocny* — pozbawiony sił, osłabiony; chory, niedomagający. [przypis edytorski]

¹¹*niemocne starce* — dziś popr. forma B. lm: niemocnych starców. [przypis edytorski]

wypowiedziana na jakimkolwiek dużym zebraniu, zrobiłaby mu imię. Za czym z wysoka rzuca okiem na salę i tak kończy:

— Tak jest, moi panowie! Gmina przygarnia ich i, godząc rozumną rachubę z porywami serca, mówi: starzec ten, nędzkarz ten, ten kaleka nie może już wyżyć ze swej pracy. Owszem, nie może już pracować. Nie ma on rodziny, która by go żywić mogła, lub też ma rodzinę biedną, której praca ledwo starczy, by głodu nie zaznać. Mamże go puścić, by się włóczył po drugich jako wstrętny żebrak? Nigdy!

Potrząsa głową energicznie i, podnosząc głos, mówi:

— Woźny, wprowadź kandydata!

Woźny przechodzi szerokim krokiem salę i znika we drzwiach bocznych, do małej komórki, służącej niekiedy za kozę, wiodących; między zebranymi szerzą się półgłośne szmerzy, a pan Radca stoi z podniesioną ręką, żeby nie wychodzić z pozy. Upływa krótka chwila. Nagle w drzwiach bocznych ukazuje się naprzód głowa dygocąca na cienkiej, wychudłej

szyi, potem kolana ku przodowi zgięte, potem stopy resztką obuwia ozute, potem ręce zgrabiałe i drżące, które się uszaków drzwi z obu stron chwytają, żeby dopomóc nogom przez próg, a wreszcie grzbiet w pałąk zgięty. Jest to Kuntz Wunderli, stary tragarz, którego wszyscy znają.

W sali zapanowyywa¹² szmer głośniejszy nicco.

— To kandydat?... Na miłosierdzie boskie, cóż to za kandydat? Któż to weźmie do siebie takiego trupa? Co za pomoc z tego komu? Co za wyręka? No, no! Ciekawa rzecz, co też gmina dać myśli za wzięcie tego próchna! A toć to skóra i kości! Nic więcej!

Niezadowolnienie się wzmagą. Są tacy, którzy od razu sięgają po czapki i od balasków odchodzą.

Ale pan Radca na szmery te nie zważa i za ledwie Kuntz Wunderli ukazał się we drzwiach, tak mowę swą kończy:

¹²zapanowyywać — zacząć panować. [przypis edytorski]

— Tak jest, moi panowie! piękne nasze ustawy wygnały z ziemi naszej żebraninę, a wprowadziły do niej miłosierdzie. Nie ma już opuszczonych! Nie ma już nędzarzy! Gmina jest ich matką, gmina jest ich żywicielką. Oto jest starzec niezdolny do pracy. Kto z panów chce go wziąć do siebie? Niejedną posługę mieć można jeszcze z niego. Gmina nie wymaga, by jej członkowie czynili to darmo. Gmina gotowa jest, podług ustaw swoich, przyczynić się do utrzymania tego starca. Kandydacie, przybliż się! Panowie, przypatrzcie się kandydatowi!

Skłonił głowę i, dobywszy fular, otarł nim czoło. Łatwo się pocił, a w sali stawało się gorąco.

Tymczasem Kuntz Wunderli, popchnięty nieco z tyłu przez woźnego, wydobywa się szczęśliwie zza drzwi i przy progu staje. Pełne światło z otwartego na obszerną ławkę okna pada teraz na jego zgarbioną i znędzniałą postać. Stoi tak przez chwilę, mnąc w ręku stary pilśniowy kapelusz, a chude kolana drżą mu coraz silniej. Jest wzruszony. Nagle prostuje się, pod-

nosi głowę i z uśmiechem na obecnych patrzy. Uśmiech ma zachęcający, wesoły prawie. Kuntz Wunderli nie wie, kto będzie panem jego. Uśmiecha się tedy do wszystkich i rażno mruga oczyma. Oczy te są zimne, osłupiałe i stro-skane. Stary Kuntz usiłuje im wszakże nadać filuterny, niemal lekkomyślny wyraz. Gdy mu się jedno zmęczy i staje w ciemnym swoim dole nieruchome, martwe, mruga drugim, jak gdyby chciał mówić: Jeszczem ja mocny! O, i jaki mocny! Chleba darmo nie zjem, pracować będę, każdej robocie poradzę. I wody przyniosę, i drew ułupię, i kartofli naskrobię, i izbę zamiotę... Dużą siłę mam jeszcze... dużą siłę...

A gdy tak patrzy z wysiłkiem, stara jego głowa coraz silniej trząść się zaczyna, oczy nieruchomieją i zachodzą wielkimi łzami, a ręce szukają podpory. Jedne tylko wąskie i zapadłe usta uśmiechają się, ciągle się uśmiechają, wtedy nawet, kiedy dwie łzy ciężkie i zimne toczą się z wolna po zmiętej i zbrudzonej twarzy.

Ten, to ów zaczyna mu się przyglądać. Istotnie stary wygląda wcale jeszcze dobrze. Dziś ra-

no ogolił się właśnie; woźny pożyczył mu brzytwy. Leży to w interesie gminy, żeby taki kandydat jak najlepiej i jak najrażniej się przedstawił. Inaczej mógłby nie znaleźć wcale amatora. Nie tylko więc woźny pożyczył mu brzytwy, ale starego kubraka i niebieskiej chustki na szyję, które po licytacji znów sobie odbierze. Stary Kuntz umie to cenić. Wie on, jakie pobudki miała gmina w tak łaskawie udzielonej mu pomocy i rad by przede wszystkim uwydatnić te piękne szczegóły swojego ubrania. Ale rękawy kubraka są na niego przydługie; sam kubrak, zbyt obszerny, wisi na nim raczej, niżli go odziewa, a bujny, niebieski, ba, wełniany fontaż¹³ dziwnie się sprzecza z jego wyschlą, pomarszczoną w tysiące szwów szyją, którą Kuntz to wyciąga, to chowa, nie wiedząc, jak lepiej przedstawi się chustka. Właściwie mówiąc, jest w trudnym położeniu.

Trzeba mu i litość wzbudzić, i nie okazać się zbyt niedołęznym. Wie on, że stoi tu w charakterze starca, nie mogącego pracować, ale wie

¹³fontaż — tu: kokarda z chusteczki na szyi. [przypis edytorski]

także, iż każdy z tych, co tu przyszedł, na ręce jego patrzy, czy się roboty chwycą. Gmina ma nad nim miłosierdzie, prawda; ale zbyt wiele dopłacać za niego nie zechce. On to wie, wie dobrze; zbyt wiele wymagać nie może... Zmieszany, wzruszony patrzy ludziom po oczach, miarkując, co który myśli; na woźnego też rzuca w bok krótkie spojrzenia, jakby dla upewnienia go, że ani brzytwa, ani kubrak, ani chustka nie pójdą na marne.

Ludzie patrzą na starego i gawędzą głośno. Nie leży to w interesie żadnego z nich, żeby okazywać zbyteczny pośpiech. Staliby tak do południa może, porozpierani na balaskach i biorący tabakę, ale pan Radca nie lubi przewlekłych posiedzeń.

— No, moi panowie — odzywa się on głośno. — Czy przypatrzyliście się kandydatowi?

— A cóż mu się tam przypatrywać — odpowiada po małym milczeniu kotlarz Kissling. — Toć my go co dzień widzimy. Stary ledwo dycha, nie uciągnie, nie dźwignie... Jak myśli-

cie, szwagrze — zwrócił się do Faustyna Tröndi — będzie miał z osiemdziesiąt albo i więcej?

Stary chrząknął. Osiemdziesiąt dwa skończył, osiemdziesiąt dwa... Ale uśmiecha się tylko i milczy.

— Ile macie lat, stary? — pyta go Tödi-Mayer.

Kuntz szybko mruga ku woźnemu okiem, a potem mówi:

— Siedemdziesiąt i cztery, kochanku! Siedemdziesiąt i cztery!

— A pokaż no, stary, zęby! — odzywa się oberzysta z Mainau.

Kuntz znów rzuca szybkie spojrzenie na woźnego i rozszerzywszy zeschłe wargi ukazuje wcale jeszcze zdrowe zęby.

Publika zaczyna się śmiać.

— Ho! ho! — mówi jeden — a to by i kość ugryzł.

— Chleba się nie złęknie! — dodaje drugi. Leu-Peter, stolarz, przechyla się ku niemu.

— A machnij no, stary, pięścią! Dalej!

Wunderli postępuje krok naprzód, podnosi nieco głowę, prostuje grzbiet i macha kilka razy ręką, której ściśnięta pięść ginie w długim rękawie pożyczonego kubraka. Ręka opada mu za każdym razem jak złamana gałąź. W stawach słychać trzask przykry.

— A co? Nieźle macha! — odzywa się ktoś z ławy.

— Phi!... — dodaje pesymistycznie drugi, wiedząc, że uwagi galerii nigdy nie są dla interesowanych stracone.

— A jakże nogi? — pyta znów Tödi-Mayer, który widocznie na Kuntza ma ochotę. — Maszeruj no, stary!

Ale stary miesza się widocznie. Nogi, to właśnie najśłabsza jego strona. Ba! gdyby nie nogi!... I nawet nie tyle nogi, co kolana... Na samą myśl o wyprostowaniu już mu w nich coś strzyka... Ale Kuntz Wunderli nie zawiedzie gminy. Z najwyższym wysiłkiem unosi jedną stopę i stawia ją natychmiast w tym samym miejscu. Nie... nie... pomylił się. To nie ta! To gorsza! Podnosi tedy drugą, lecz jeszcze

szybciej spuszcza ją z głośnym syknieniem. Co u diabła! Czy to nie tamta? Czyżby ta właśnie była gorszą?

Interesowani marszczą się i milczą. Galeria, która z ławek powstawszy, podeszła do balasków, zaczyna się śmiać głośno.

— Dalej! Dalej! — wołają. — Maszerować! Maszerować, stary!

Pan Radca surowo spogląda na śmiejącą się galerię, po czym zwrócony do starego mówi z odcieniem niecierpliwości:

— Czegóż stoisz? Rusz się z kąta!

Kuntz Wunderli uśmiecha się nieśmiało, boleśnie. Zaraz, zaraz... Naturalnie! Czegóż on stoi? Zaraz się ruszy... Zaraz...

I nagle, zebrawszy siły, podnosi głowę, wytrzeszcza spłowiałe oczy, wyciąga jak żuraw szyję, prostuje się, przyciska rękami kolana i ku drzwiom maszerować zaczyna.

Jest to widok tak pocieszny, że całe zgromadzenie wybucha głośnym śmiechem. Stojący bliżej przy ławach padają na nie chwytając się za boki, pan Radca zasłania usta trzymaną

w rękę ustawą, a woźny odwraca się do kąta i parska w kułak.

— Dobry! Dobry! — wołają głosy z ławek.

— Dalej! Dalej! — odpowiadają inne.

Stary idzie. Sztywne jego nogi nie zginają się wcale; podnosi on je jak kije, z niezmiernym wysiłkiem, i opuszcza na dół, rozpaczliwie przyciskając rękoma chore i obrzmiałe kolana. Tymczasem, jakby na złość, sala wydłuża się, rośnie, drzwi uciekają kędyś, ściany nabierają przeraźliwej głębi; staremu Kuntzowi здаje się, że nigdy, nigdy nie zdoła dojść aż do nich... Czuje wszakże, iż wszyscy ci ludzie na niego patrzą, że gmina patrzy. Zaciska tedy zęby i znów podnosi sztywną i ciężką nogę.

Nagle staje i szeroko otwiera osłupiałe oczy. U drzwi, w gromadzie głów ludzkich, widzi głowę syna.

Tego się nie spodziewał. Nie, nie! Tego nie...

Ciemna czerwoność bucha mu na twarz resztką krwi spod serca.

Nie słyszy śmiechu ludzkiego, nie słyszy nawet głosu pana Radcy, który go na miejsce woła. Widzi tylko syna.

Jak urzeczony patrzy na niego i zaczyna drzeć jak na wielkim, wielkim zimnie; wszystkie jego stare kości dygocą. Struchlała twarz blednie, bieleje, staje się biała, bardzo, bardzo biała. Na czole rysuje się dziwnie twarda i surowa bruzda; oczy jego zapalają się i gasną. Niepokieszone, martwe, stroskane, z dziwem i strachem patrzą się w twarz syna. Nie, nie, on nie chce, żeby go syn licytował w gminie... On nie chce!

Kurczy się, odrywa ręce od kolan i zastawia się nimi. Nie, nie! On się boi! On nie chce!

Ale woźny przystępuje i bierze go za ramię. — Co u diabła? Czego stoi jak głupi? Czy nie widzi, że urząd czeka? Dalej naprzód!

Stary Wunderli jest wszakże w tej chwili tak słaby, ale to tak słaby jak dziecko. Po prostu ruszyć się nie może. Nogi mu się plączą, zęby szcękają, głowa się chwieje jak ten liść jesienny. Woźny popycha go przed sobą, a także

podtrzymuje nieznacznie. Gdyby go nie podtrzymywał, stary padłby może. W duchu nie ma on wielkiej nadziei, żeby starego gmina łatwo pozbyć się mogła. Teraz widzi, że i brzytwa, i chustka, i kubrak — tak jak na nic... Zupełnie jak na nic.

— Prędzej! — woła niecierpliwie pan Radca.

Kuntz Wunderli opamiętywa¹⁴ się jakoś i znów staje na poprzednim miejscu. Jest ono dobrze wybrane. Z szeroko otwartego na ogród okna pada na nędzarza pełne, złote światło. W świetle tym zmartwiała twarz starego nabiera nieco życia. Na łysej jego czaszce igra odbłask cichej i modrej pogody. Osłupiałe źrenice podnoszą się i zawieszają kędyś daleko na szerokim, słonecznym błękicie.

— Kto wie? Może i nieźle byłoby, żeby się syn utrzymał. Kto wie? Synowa zła i skąpa, to prawda. Ale umarłby wśród swoich przynajmniej. I wnuki... widziałby co dzień wnuki...

¹⁴opamiętywa się — dziś popr. forma: opamiętuje się. [przypis edytorski]

Żrenice starego wilgotnieją, stają się miękkie i rzewne; na ustach drży jakieś nie wymówione słowo, wielka surowa zmarszczka na czole wygładza się i znika.

Stanowczo nie wygląda w tej chwili na więcej jak na siedemdziesiąt cztery. To ożywia nieco interesowanych.

— Nietęgi w nogach! — mówi, kręcąc głową, piekarz Lorche.

— Co to nietęgi! — prostuje ktoś z ławy.

— On nas jeszcze wszystkich przeskoczy! — dodaje inny.

— Zuch stary! — woła trzeci.

— Jakże myślicie, szwagrze? — pyta półgłosem Tödi-Mayer swojego sąsiada.

— A cóż? ja bym brał. Kiepski w nogach, ale w warsztacie posłuży.

— Ani bym na to chuchro nie spojrział — mówi Dödöli — gdyby tu był inny.

— A co? w domu i to się przyda — perswaduje Kissling.

Pan Radca bystrym okiem po obecnych wodzi. Chwila wydaje mu się odpowiednia do zagajenia licytacji. I tak sprawa ta przeciągnęła się nad miarę dzisiaj. Za dużo było ciekawych.

Dobywa zegarek, podnosi go blisko do oczu, porównywa¹⁵ ze ściennym zegarem gminy i skłaniając się na woźnego rzecze pełnym inicjatywy głosem:

— Moi panowie, kończmy! Kandydat, przedstawiony wam przez sekcję dobroczynności gminy, ze wszech miar zasługuje na waszą uwagę. Zdrow jest, niezbyt podeszły w lata, siły dobrze mu służą i do każdej lżejszej roboty przydać się w domu może. Kto z panów reflektuje? I z jaką dopłatą?

Cisza nastaje po tych słowach pana Radcy. Jaki taki liczy się z potrzebą posługi i z groszem.

Sprüngli porusza się i przestępuje z nogi na nogę. Zauważył to pan Radca i, skłaniając się uprzejmie w stronę powroźnika, rzecze:

— Moi panowie, pan Sprüngli zaczyna.

¹⁵porównywa — dziś popr. forma: porównuje. [przypis edytorski]

— Panie Sprüngli, prosimy! Jakiej dopłaty żądałbyś pan od gminy za przyjęcie w dom swój kandydata?

— Dwieście franków! — rzecze powroźnik i urywa, niepewny, czy nie zażądał zbyt mało.

— Co? Dwie-ście fran-ków? — pyta udając zdumienie pan Radca. Po czym zatrzymuje się na chwilę: — Moi panowie! Nic nie byłoby dla mnie miłszego nad taki stan finansów gminy, który by sekcji jej dobroczynności pozwalał na podobnie kolosalne wydatki. Gdy jednak tak nie jest, musimy to uwzględnić i stawiać przystępniejsze cyfry. Namyślcie się, panie Sprüngli. Jakże, moi panowie? Widzieliście panowie zęby kandydata? To człowiek silny jeszcze!

— I cóż tam, zęby! — odzywa się oberżysta z Mainau. — To gorzej jeszcze, że zdrowe! Jak się stary rozje, to go nie natkam, a do roboty nie stanie.

— Oho! Nie ma biedy! Już my go napędzimy! — mówi Kägi mrugając zezowatym okiem.

— Ja? — obrusza się oberżysta. — Ja na dziecko nie zakrzywię palca!

— No, no! — odpiera Kägi. — Potraficie w parobka orać!

— Wy co? Czy to ja Probst jestem?

Roześmieli się obaj.

— Kto tam wie, czy i Probst winien — rzecze Kissling. — Dziad napijał się może...

— Jako żywo! Nikt go pijanym nie widział — zaprzecza Lorche.

— Ale to tam nie Probsta robota, tylko żony! Żona jęcza... — odzywa się głos z ławy.

— Baba spod ciemnej gwiazdy! — dorzuca ktoś z kąta.

— Jak było, tak było — mówi Sprüngli — dość, że się stary Hänzli u niego powiesił...

— Musiało mu być słodko.

— Jak to? — woła rzeźnik Wettinger. — To ja takiego będę żywił, odziewał, dach mu nad głową dawał za ten marny grosz z gminy, a do roboty nie będzie mi go wolno napędzić?

— No tak... Ale zawsze...

— Moi panowie — przerywa pan Radca — przystępujemy do ukończenia tej sprawy. Czas urzędowych osób jest ograniczony. Pan Sprüngli podał dwieście franków. Kto z panów licytuje in minus?

Cisza.

— Kto z panów licytuje? — pyta ponownie pan Radca. — Panie Sprüngli, namyślcie się, proszę.

— Jużem się namyślił — rzecze Sprüngli. — Mniej nie mogę niżli dwieście franków.

Pan Radca odwraca się od niego.

— Kto licytuje, panowie? Kto licytuje?

— Sto osiemdziesiąt pięć wezmę! — mówi z wolna, cedząc zgłoski, piekarz Lorche. — Ale niech przynajmniej tę zimę w ubraniu swoim chodzi. U mnie ciepło.

Stary Wunderli spogląda po sobie najpierw, potem po sali i nagle drzeć zaczyna. Wydaje mu się, że mróz już mu kości sięga. W swoim ubraniu? Cóż on za ubranie ma? Alboż on na ubranie zarobić mógł grosz jaki? Na chleb za ledwie mógł zarobić, a i to z ciężkością. Bluzę

plócienną ma, łataną bluzę tylko. Jak tu zimę w tym przebyć? Co to za ubranie?...

— Sto osiemdziesiąt z tym samym warunkiem! — odzywa się grubym głosem Dödöli, właściciel winnicy.

— Z tym samym warunkiem? — myśli stary Kuntz, a nędzne jego nogi dygocą coraz silniej. Miłosierny Boże! Po cóż tu jakie warunki? Wszak stoi tu, jak ten Łazarz, przed ludźmi... Cóż tu za warunki?

Po oświadczeniu Dödölego znów się cicho robi. Pan Radca stoi jak na szpilkach.

Chwilę bawi się koralowym brelokiem, po czym, zmuszając się do uprzejmego tonu, mówi:

— Dalej, moi panowie! Dalej! Kto licytuje?

— Sto siedemdziesiąt i pięć! — mówi dobitnie Tödi-Mayer. Potrzeba mu na gwałt parobka. Robota aż kipi w domu.

— Sto sześćdziesiąt! — woła ktoś nagle z kąta.

Obejrzano się: nie dowierzano sobie. Zazwyczaj opuszczano po pięć franków, po siedem zresztą. Ale żeby ktoś o piętnaście od razu mniej chciał brać, tego przykładu nie było.

Sam pan Radca spogląda ciekawie w kąt sali; stary Kuntz także podnosi głowę i patrzy.

Z boku nieco, bliżej drzwi, poza ramionami licytantów, u balasków, rozparty stoi syn jego, z krótką fajką w zębach. Za rękę trzyma najmłodszego chłopca.

Stary otwiera usta i patrzy z mieszaniną strachu i nadzieją.

Syn przeciska się do balasków, wyjmuje fajkę i w pierwszym rzędzie staje z podniesioną głową. Nikt mu tego za złe nie bierze.

Dzieciaków gromadę ma, sam ciężko pracować musi. Jedna gęba więcej u miski to duża rzecz tam, gdzie i ci, co do niej siedli, nie zawsze się najedzą. Trzymać ojca darmo nie może. Bóg widzi, jako nie może! Ale z tym, co gmina doda — spróbuje. Nie wymaga wiele. Od razu trzy razy tyle opuszcza, co ktokolwiek z obcych. Zarabiać na gminie i na starym nie

chce. Niech tylko mu się własny grosz, choćby i nie cały, powróci.

Wszyscy to rozumieją doskonale; każdy by z nich zrobił to samo. Człowiek się tak jak każda rzecz zużywa, a zużyty ciąży. Kto na to ma, może i dziada żywić, a nie dopiero ojca; ale kto nie ma na to, jużci¹⁶ kraść nie pójdzie. Jest to rzecz jasna jak słońce.

A jednak od tej rzeczy jasnej jak słońce pada jakiś posępny cień na wszystkie czoła. Ludzie bokami patrzą, jakby nie chcieli, nie mogli spojrzeć sobie oko w oko. Cisza trwa dłużej niż zwykle. W ciszy tej słychać ciężkie, do jęku podobne, westchnienie starego Kuntza.

Pan Radca bystro pogląda po ludziach. Widocznie syn się utrzyma.

— A więc, moi panowie — zagaja, przemilczawszy nieco — a więc utrzymuje się ostatnia oferta. — Sto sześćdziesiąt franków! Cieszy mnie, bardzo mnie cieszy.

Tu urwał. Właściwie nie wie, co go tu ma cieszyć. Tego, iż cieszy się, że sobie wszyscy raz

¹⁶juźci (daw. gw.) — tu: przecież. [przypis edytorski]

do licha pójdą, nie może im przecież tak w oczy powiedzieć.

Ale przemowa ta okazuje się przedwczesną.

— Sto pięćdziesiąt i pięć! — podbija syna Tödi-Mayer i ociera czerwoną bawełnicą szerokie, spocone czoło.

Syn cofa się od balasków i rozdmuchuje przygaszoną fajkę. Ale dziecko, które za rękę trzymał, spostrzega w tej chwili starego:

— Dziaduś! Dziaduś! — woła cienkim przenikliwym głosem.

Stary wnuka nie widzi, słyszy go tylko; rzewny uśmiech rozszerza jego zwiędłe wargi. Potrząsa radośnie głową i robi ruch taki, jakby brał tabakę. Idzie to jakoś, dzięki Bogu, idzie. Wszystko jeszcze może być dobrze! Wszystko może być dobrze!

— Sto pięćdziesiąt! — woła syn.

Ale Tödi-Mayer ustąpić nie myśli. Zapierzyl się; był z tych, którzy się rozpalają do każdej stawki. Cóż syn? Syn go mógł darmo trzymać. Za pieniądze gminy każdy teraz dobry, każdy ma prawo.

— Sto czterdzieści i pięć! — woła podniesionym głosem.

Syn przechyla głowę, patrzy na Tödi-Mayera z wysoka, lekko zmrużonymi oczyma.

Namyśla się chwilę, po czym macha obojętnie ręką. Nie może ryzykować więcej. Zrobił, co do niego należało, ale ryzykować nie może. Jego czarna, o prostych włosach głowa i twarz kwadratowa, drewniana, cofa się z szeregu, a wysoka, koścista, nieco pochylona postać posuwa się ku drzwiom wskroś izby.

Stary patrzy za nim. Jest niespokojny, otwiera usta i wyciąga szyję, lewa powieka zaczyna mu drgać nerwowo. Wygląda teraz staro, bardzo staro. Tödi-Mayer miarkuje, że nieświetny zrobił interes i szepce z kumem Spenglerem.

Tymczasem pan Radca uderza dłonią w biurko, przy którym stoi.

— A zatem — odzywa się dźwięcznym, jasnym głosem — sto czterdzieści i pięć franków! Po pierwsze... po...

— Za pozwoleniem! — przerywa nagle Tödi-Mayer. — Czy tylko joppa¹⁷ należy istotnie do starego?

Pan Radca marszczy piękne, gładkie czoło.

— To nie może wchodzić w zakres roztrząsań gminy! — rzecze z godnością, a woźny odwraca się do kąta i kaszle głośno.

— Jak to nie może? — ujmuje się za sąsiadem Spengler. — Gmina musi wiedzieć, co daje, a ten, kto bierze, musi wiedzieć, co bierze. To jasne!

— Joppa twoja? — pyta Tödi-Mayer, zwracając się bezpośrednio do starego Kuntza.

Ale stary Kuntz nie słyszy.

Lewa jego powieka drży coraz silniej, spojrzenie słupieje. Widzi, jak syn oddala się i jak we drzwiach znika. W chwilę potem widzi go jeszcze raz przez otwarte okno i słyszy szczebiot dziecka. Idą... Przeszli.

Stary opuszcza głowę i trzęsie nią w milczeniu. Potem ściska powieki z całej, z całej si-

¹⁷joppa — kurtka, kaftan. [przypis edytorski]

ły. Coś mu żre oczy; słonego coś, gorzkiego...
Żre i pali...

— Słyszysz, stary? — powtarza Tödi-Mayer głośniej. — Pożyczył ci kto joppy czy własna?

Usłyszał wreszcie. Miesza się, spogląda po sobie, zaczyna szybko mrugać czerwonymi oczyma i rzuca ukradkiem spojrzenia w kąt, gdzie woźny stoi.

Tödi-Mayer uderza pięścią w balaski.

— Ależ to oszukaństwo! — wybucha gniewnie.

— Tak! Tak! — odzywa się kilka na raz głosów.

Szmer rośnie w sali; oburzenie udziela się wszystkim.

— Człowiek ma miłosierdzie — wola Tödi-Mayer, szeroko rozkładając wielkie czerwone ręce — bierze sobie za marny grosz taki ciężar na kark, ale chce, żeby interes rzetelnie był zrobiony. To trudno!

— Tak! Tak! — potwierdza więcej jeszcze głosów. Ponad wszystkimi słyhać głos Spen-

glera. Na twarz pana Radcy bucha płomień gniewu.

— Ściągaj kurte! — krzyczy na starego, a Kuntz Wunderli z pośpiechem rozpinać ją zaczyna.

Nie idzie to łatwo. Ręce mu się trzęsą, pokręcone palce nie trafiają do guzików od razu; staremu pomaga woźny, ściągając ze złością rękawy. Jako urzędnik gminy, czuje się on niemal tak samo dotknięty jak pan Radca.

— Kapuściana głowa! Niedolega! — szepcze przyciszonym, zirytowanym głosem, szarpiąc na przemiany to jeden, to drugi rękaw nieszczęsnej kurty, po której zdjęciu ukazuje się cała wyjątkowa nędza zapadłych piersi i wychudzonych żeber kandydata, ledwie co okrytych srodze łątaną koszulą i szczętami letniej kamizelki.

Stary Wunderli drży silnie, częścią z chłodu, a częścią ze strachu. Wydało się... Co teraz będzie? Wszystko się wydało...

W niezmiernym pomieszaniu podnosi do szych obie trzęsące się ręce i usiłuje rozplątać misternie przez woźnego zadzierzgnięty fontaż.

— I chustka nie twoja? — krzyczy Tödi-Meyer, zdjęty ostatnią pasją w swym rozczarowaniu.

— Nie moja... — odpowiada ledwie dosłyszalnym szeptem Kuntz Wunderli.

Woźny wyszarpuje mu ją z ręki.

— Kapuściana... ośla... barania głowa! — mówi przez zęby z naciskiem.

Historia z chustką więcej go jeszcze gniewa niżli historia z kubrakiem. Inicjatorem pożyczki kubraka nie był sam: podsunął ją mimochodem pan Radca, zważywszy, iż kandydat był zbyt źle odziany, aby się mógł pokazać w urzędowej części sali.

Ale chustka! Chustka była własnym pomysłem woźnego. Sam ją wiązał, włożył w wiązanie to coś z artystycznych instynktów swoich, coś z własnej duszy... Zdejmowanie jej nie było zresztą rzeczą konieczną, nikt chustki nie podejrzewał, nikt nie pytał o nią. Rozdrażnienie

woźnego jest tak wielkie, iż zmiąwszy ten niebieski bawełniany szmatek w obu rękach, ciska go ze wstrętem pod wieszadło u drzwi stojące. Nie może w tej chwili dać dobitniejszego wyrazu oburzeniu swemu i swej wielkiej wzgardzie.

Ale Kuntz Wunderli stoi tymczasem przed publicznością zawstydzony, zgnębiony, odarty z uroku. Teraz dopiero można się przypatrzyć jego kolanom, tak ku przodowi wygiętym, że cała postać przysiadać się zdaje, teraz można widzieć jego wykręcone, ciężkie stopy i jasnokościste łokcie. Najzabawniejsze wszakże wrażenie robi szyja starego. Jest ona tak cienką, że zdaje się biczem przetrzasnąć by ją można. W ogóle czyni ona starego podobnym do oskubanego ptaka; a to tym bardziej, że nie podparta sztywnym fontaziem głowa wydaje się przy tej cienkiej, zwiędłej szyi niepomieranie wielka i ciężka. Opada to na jedną, to na drugą głęboko zakłęśłą jamę obojczyka.

Wesołość teraz wybucha na sali; jedni śmieją się dobrodusznie, drudzy złośliwie, pogląda-

jąc przy tym na Tödi-Mayera. Najlitościwsi kiwają głowami i uśmiechają się z lekka.

— Ecce homo¹⁸! — odzywa się kotlarz Kissling, który ma brata dozorcą w kantonalnej bibliotece i darmo czytuje książki.

Szeroki wybuch śmiechu przyjmuje to porównanie. Większość mniema, iż jest to przymówka do szczytu wznoszącego się poza Mythenami, Dużym i Małym, który się „Ecce homo” zowie w przeciwieństwie do sękatego Pilatusa; w zgromadzeniu są tacy, którzy górę tę widzieli z bliska.

Stary nie ma wprawdzie żadnego podobieństwa do jakiegokolwiek szczytu, ale jest to tym śmieszniejsze! Dalibóg, tym śmieszniejsze!

Jeden Tödi-Mayer nie bierze udziału w ogólnej wesołości. Okrągłe jego, wypukłe i błyszczące oczy obiegają postać starego nędzarza, jak gdyby każdą z jego wyschłych i struchlałych kości czyniły odpowiedzialną za tak wielki zawód. Oczyma tymi świdruje go jak fałszywy

¹⁸*Ecce homo* (łac.) — oto człowiek; słowa wypowiedziane wg *Biblij* przez Pilata o skazanym na ukrzyżowanie Jezusie. [przypis redakcyjny]

szelał, roztrząsa jak stary łachman, przenika go do ostatniej żyłki, do resztki tchu w piersiach.

— Cofam słowo! — woła wreszcie. — Nie mogę brać tak mało!

— Nie wolno słowa cofać! — rzecze z powagą pan Radca.

— Jak to nie wolno? Woźny nie przybił jeszcze.

— Nie przybił! Nie przybił! — potwierdzają głosy z ławy, po czym ucisza się nagle.

Wszyscy czekają, jaki obrót sprawa weźmie. Pan Radca jest niekontent. Rzuca on na obecnych chmurne spojrzenie spod oka, marszczy piękne czoło i ciągnie na dół to jednego, to drugiego wąsa.

— W takich łachmanach nie wezmę dziada i za sto osiemdziesiąt franków! — woła rezolutnie Tödi-Mayer, czując za sobą zgodę całej sali.

— Ja bym nie brał i za dwieście — popiera go kum Spengler.

— Co to dwieście! To i dwieście dziesięć nie byłoby nadto! — dodaje oberżysta z Mainau.

Stary Wunderli słucha tego i dusza w nim truchleje. Co to będzie? Co to jeszcze z nim będzie? A to może nikt i wziąć nie zechce? A potem, dlaczego tyle aż chcą brać? Dlaczego aż tyle?

Wielki niepokój i wielkie zdumienie odbija się w jego nędznej twarzy. Coraz wyżej podnosi brwi siwe, patrząc w ziemię, a głowa coraz szybszym ruchem opada mu to na jedno, to na drugie ramię.

— No, panie Tödi-Mayer! — odzywa się urzędnik pojednawczo. — Nie rób pan żartów i kończmy, moi panowie!

— Dobrze! — woła energicznie ślusarz — wezmę, ale za równe dwieście!

— Co znowu! Co znowu! — odzywa się, tracąc cierpliwość pan Radca. — Skąd gmina może takie sumy płacić? Czy panowie myślicie, że gmina siedzi na złocie? Moi panowie, gmina nie siedzi na złocie. Gmina musi się liczyć

z groszem. Gmina ma wydatki, duże wydatki! Miłosierdzie, moi panowie, jest dla niej rzeczą świętą, ale i miłosierdziu miarę zachować należy!

Jeszcze pan Radca nie domówił ostatniej sylaby, kiedy drzwi otwierają się szeroko i wchodzi Probst. Jest to tęgi mężczyzna z grubym karkiem i szeroką, czerwoną twarzą. Jego brunatny, rozpięty spencer pokazuje pierś potężnie rozrosłą i kołyszący się na niej łańcuszek ze srebrnych ogniwek. Spod niskiego tłustego czoła świecą małe, bystre oczy; rudawe, kędzierzawe włosy zarastają mu głęboko skronie. Probst idzie śmiało i macha wielkimi rękami, które mu po bokach wiszą zaciśnięte w kułak; miejsca sobie wszakże robić bynajmniej nie potrzebuje, gdyż każdy usuwa się przed nim z pewnym rodzajem respektu. Człowiek jest silny, tęgi, ma spojrzenie ponure i zuchwałe. Z takim nie zaczynać lepiej. Probst dochodzi do balasków, kłania się urzędnikowi i kiwnięciem głowy pozdrawia kilku obecnych.

Pan Radca wybaczyć mu zechce... Spóźnił się, ale nie winien temu. Ten przeklęty parobek, którego po starym Hänzlim wziął, rozchorował mu się jak na złość... Sam dziś mleko rozwozić musiał, a to piekielny kawał z góry i pod górę.

Pan Radca słucha, przytakując; pozdrowieni uśmiechają się życzliwie i kręcą głowami.

Sam rozwozić musiał?... No, no! Kawał drogi!

Przez otwarte okno słysząc głośnie naszczekiwanie psa, którego wszyscy znają; trzy razy dziennie przybywa on z mlekiem, zaprzężony do wózka pełnego wysokich blaszanek. Probst piękną oborę ma... Piękną oborę!

I nagle przejmuje ich uczucie poważania dla tych tęgich pięści i grubego karku. Spengler odwraca się od Tödi-Mayera i na Probsta patrzy; ślusarz czuje się już przez samo przybycie mleczarza jakby na pół pobitym. Patrzy to na jednego, to na drugiego z obecnych niby obojętnie; w rzeczy samej żał mu, że targu nie przybił. Ano da się to widzieć, co będzie.

Ale Probst czasu nie traci. Opiera się ściśniętą pięścią o balaski, wyciąga grubą szyję i, skubiąc żółto zarastający podbródek, zmruża bure oczy i celuje nimi w starego, jak wylotem fuzji.

Kissling i Dödöli trącają się łokciami.

— Jak ten patrzy! Jak ten bestia patrzy! Toć chwała Bogu, każdy oczy ma, a nikt tak nimi człowieka nie umie na wskroś brać! Ten się zna! No, już ten się zna!

Tymczasem izba przybiera całkiem inny pozór.

Czują wszyscy, że przybył koneser. Twarze się ożywiają, ci, co siedzieli na ławie, powstają i przystępują bliżej. Chwila zaczyna być naprawdę interesująca. Ale Kuntz Wunderli na widok Probsta porusza się niespokojnie, nerwowo. Wie on, że Hänzli, tak samo z gminy wzięty, po trzech miesiącach powiesił się u Probsta na strychu; pamięta, jak Probstowa po nim sprzedawała buty, pamięta też jak stary Hänzli obtarte miał od szlej¹⁹ ramiona i jak mu

¹⁹szleje — uprząż ze sznurków lub wąskich pasków. [przypis edytorski]

u Probsta oczy zapadły, a twarz szerniała i wyschła. Kurczy się stary, głowę w ramiona chowa, przyciska do boków kościste łokcie, staje się małym, bardzo małym, tak małym, że go i niewiele widać chyba. Co prawda, rad by się pod ziemię całkiem, całkiem schować. Boi się tchnąć, boi się poruszyć, nawet kolana z wielkiego natężenia dygotać mu przestały.

Ale Probst zna się na tym wszystkim dobrze. Licytuje przecież tych hultajów od sześciu czy siedmiu lat w gminie. Wie on, że taka starota to jak pęknięty garnek: odrutuj, a czasem i za nowy trwa. Bądź co bądź najtańszy to robotnik, jakiego znaleźć można. Czy złością, czy dobrocią, zawsze się z niego tyle roboty wycisnie, ile zje, a co gmina doda, to jakby znalazł.

Sarkają ludzie, że cenę inszym psuje. A co mu tam, byle sobie nie psuł. Niech każdy pilnuje swego i już.

Przekrzywia tedy Probst w jedną stronę ciężką swoją płaską głowę, przekrzywia w drugą,

a potem, spojrzawszy bystro w twarz urzędnika, rzecze silnym, dobitnym głosem:

— Sto dwadzieścia pięć!

Słowa te wywołują silne wrażenie. Najobojętniejsi nawet kręcą głowami z podziwu. Daj go katu! A to i nie spyta, co kto święci, tylko swoją kozera²⁰ wali z góry jak armatnią kulą!

W sali robi się wielka cisza, w którą wpada natarczywe, zajadłe szczekanie psa, pozostawionego przede drzwiami przy mleczarskim wózku.

Stary Wunderli pogląda na lewo i na prawo, jakby szukał okiem, któredy ma uciec. Nie ucieka wszakże: stoi, jakby skamieniał, jakby wrósł w podłogę. Tylko coraz niżej opada mu dolna szczęka, a oczy otwierają się coraz szerzej.

— Sto dwadzieścia i pięć! — woła Probst raz jeszcze.

Pan Radca promienieje. Chwilę wodzi po obecnych ożywionym wzrokiem, a gdy nikt nie

²⁰kozera — atut, karta atutowa. [przypis edytorski]

podbija mleczarza, uderza białą ręką w leżące przed nim papiery i daje znak woźnemu.

— Po raz pierwszy! — mówi woźny, stukając laską w ziemię, i ucicha.

— Po raz drugi! — mówi głośniejsze, a stary Kuntz Wunderli zmruża nagle oczy i kurczy się boleśnie, jakby kij przybijający dzieło miłosierdzia gminy w niego miał uderzyć.

— I-po-raz-trzeci! — woła razem z woźnym triumfujący pan Radca.

W chwilę potem Kuntz Wunderli stoi u dyszla mleczarskiego wózka trzęsąc swą nędzną, starą, siwą głową i usiłując drżącymi rękami przełożyć przez siebie parcianą szleję. Z drugiej strony dyszla rzuca się w podskokach silny kudłaty pies w takiejże uprzęży, ujadając głośno, donośnie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/milosierdzie-gminy>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Konopnicka, Nowele, Książka i Wiedza, Warszawa 1998

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Będkowska, Dorota Kowalska, Katarzyna Zduniak, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: F&M Spring - 05, garryknight@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-0371-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

MARIA KONOPNICKA *Milosierdzie gminy*
Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji